

Mistrz na wagę złota

Tekst opublikowany 2009-01-02, 09:04:44, autor Ewa Mastalska



Coraz trudniej jest spotkać we Wrocławiu szewca, krawca czy kaletnika. Tradycyjne zawody utrzymują się jeszcze jedynie w Śródmieściu.

„Ginące zawody” udokumentowane zostały w projekcie przygotowanym przez Fundację Dom Pokoju przy współpracy z Urzędem Miejskim Wrocławia oraz Programem „Młodzież” Wspólnoty Europejskiej.

Przez kilka miesięcy wolontariusze odwiedzali ulice Śródmieścia, gdzie w bramach sesyjnych kamienic działają wciąż mistrzowie rzemiosła. Ich losy to nie tylko historia tej dzielnicy, ale także zawirowań społecznych i gospodarczych Polski ostatnich kilkadziesiąt lat.

Powołanie w wojsku

Józef Błachno od 35 lat prowadzi warsztat złotniczy na ulicy Paulińskiej. Wcześniej pracował jako zegarmistrz, choć w jego rodzinie nie było tradycji tego zawodu.

- Pochodzę z okolic Zielonej Góry – wspomina mistrz. – Podczas pobytu w wojsku naprawiłem zegar pułkowy. Wtedy po raz pierwszy pomyślałem, że mam zdolności do tego fachu. Skończyłem szkołę przemysłową, a potem technikum. Zdałem egzamin czeladniczy i mistrzowski. Najpierw pracowałem kilkanaście lat w PHD „Jubiler”. Podpatrywałem również tajniki złotnictwa. Wielu zegarmistrzów zaczynało zajmować się także tą działalnością, do czego nie było wymagane zdobycie dodatkowych uprawnień.

Prestiż bez kokosów

W roku 1973 pan Józef otworzył warsztat na ulicy Paulińskiej, który prowadzi do dzisiaj. Były to jeszcze czasy zegarków mechanicznych i ręcznie robionej biżuterii. Złoto było bardzo drogie – narzeczeni dostawali nawet przydziały na obrączki z kruszcu najniższej próby. Oficjalny handel wyrobami jubilerskimi był zabroniony pod karą więzienia. Ludzie ratowali się przywożeniem złota z krajów Związku Radzieckiego czy kupowaniem biżuterii od tzw. cinkciarzy. Rzemieślnicy mieli problem z kupieniem fachowych narzędzi

- Mimo tych ograniczeń mój zawód zapewniał przyzwoity byt – mówi Józef Błachno. – Pamiętam, jak kupiłem pierwszy samochód. Zostałem wtedy wezwany do urzędu finansowego, by wytłumaczyć się, skąd było mnie stać na taki „luksus”.

Rzemieślnicy przechodzili solidne kształcenie. Bez dyplomu mistrzowskiego nie można było otworzyć warsztatu. Józef Błachno miał okazję przekonać się, że jego umiejętności mogą zostać docenione nawet za oceanem.

Zegarmistrz w USA

- W roku 1967 odwiedziłem krewnych w Stanach Zjednoczonych. Próbowałem dowiedzieć się, jakie miałbym tam możliwości pracy. Znałem trochę język angielski i dogadałem się z miejscowym zegarmistrzem. Zapytał on najpierw: Joe, co ty umiesz? Odpowiedziałem, że wszystko, co powinien umieć zegarmistrz. Wtedy on rozłożył na części pierwsze kilka zegarków i spytał, ile czasu zajmie mi ich złożenie. Gdy powiedziałem, że jeden dzień, stwierdził, że jestem świetnym fachowcem. On sam wykonywał podobną pracę w tydzień.

Zalew tandety

Prawdopodobnie już wtedy w USA były widoczne tendencje, które do Polski dotarły w latach dziewięćdziesiątych. Tradycyjne rzemiosło było stopniowo wypierane przez masową produkcję. Biżuteria i zegarki stawały się coraz tańsze, a ich naprawa mniej opłacalna.

- Na stoiskach w marketach pracują nieraz ludzie, którzy nie mają podstawowej wiedzy z zakresu jubilerstwa. – twierdzi mistrz. – Nie potrafią rozpoznać, czy wyrób pochodzi ze szlachetnego kruszcu, czy jest podróbką, ani jaki kamień został umieszczony w pierścionku.

Brak świeżej krwi

Pan Józef przez wiele lat szkolił uczniów. Uważa, że do solidnego opanowania jubilerskiego fachu potrzebne są co najmniej 2-3 lata nauki. Złotnik preferuje młodych ludzi, których można jeszcze ukształtować. Dorosły człowiek ma już swoje przyzwyczajenia i nawyki, które trudno zmienić.

- Miałem kiedyś na praktyce 17-latkę, który sam próbował przylutować łańcuch nie mówiąc mi o tym. Zanim się zorientowałem, łańcuch rozpadł się w drobny mak. Dobrze, że chłopakowi nic się nie stało. Zawód jubilerski wbrew pozorom jest mało wdzięczny. Efekt końcowy robi może wrażenie, jego osiągnięcie wymaga jednak wielu godzin żmudnej i brudnej pracy.

Młodzież nie garnie się dziś do rzemieślniczych zawodów. Myślą głównie o szybkim zarobku lub o wyjeździe za granicę. Pan Józef również nie ma następcy. Jego syn od wielu lat mieszka w USA, skończył studia ekonomiczne i pracuje na Wall Street.

- Mógłbym zatrudnić kogoś z moich dawnych uczniów, gdyby nie warunki lokalowe. Mój warsztat to 15 metrów kwadratowych. Powiększyłem go wprawdzie o antresolę, nadal nie jest to jednak za duża powierzchnia. Starłem się o powiększenie lokalu o nieczynną piekarnię w sąsiedniej kamienicy, ciągle jednak czyniono mi trudności.

Siekiera pod ladą

Zdaniem rzemieślników kłody pod nogi rzucają im głównie urzędnicy. Właściciele warsztatów muszą płacić wysokie podatki oraz takie świadczenia za energię i gaz jak duże zakłady przemysłowe. Złotnicy są także dodatkowo narażeni na ryzyko włamań.

- Trzymam pod ladą siekiere dla własnego bezpieczeństwa – mówi pan Józef. – Dwa razy zostałem okradziony, a złodzieje wyrwali całą kasę. Ludziom ciągle wydaje się, że złotnik to ktoś strasznie bogaty. To samo spotkało mojego znajomego, prowadzącego warsztat na ulicy Poniatowskiego. Policjanci

poradzili mu tylko, by przeniósł swoją działalność w inne miejsce, na przykład na Krzyki. Znajomy wkrótce zwinął warsztat i wyjechał do Szwecji.

W swojej pracy pan Józef kieruje się przede wszystkim szacunkiem dla klienta. Nie podejmuje się naprawy, gdy wie, że nie potrafi jej wykonać. Ma swoją stałą klientelę, która pozostaje mu wierna od lat.

- Oczywiście, że lubię swoją pracę. Inaczej nie mógłbym jej wykonywać – zapewnia mistrz, naprawiający w sylwestrowe przedpołudnie srebrne i złote bransoletki. - Będę w nim pracować, póki starczy mi sił.

Ocalić od zapomnienia

Na pomysł udokumentowania tradycyjnego wrocławskiego rzemiosła wpadła **Karolina Mróz**, wiceprezes Fundacji Dom Pokoju. W projekcie „Ginące zawody Śródmieście” wystąpili przedstawiciele takich fachów jak czapnik, kuśnierz, ramiarz czy rymarz, którzy opowiedzieli o swojej pracy.

Młodych ludzi zaskoczyło podejście do pracy tych ludzi - opowiada koordynatora projektu. – Nie są oni nastawieni na szybki zysk, ale na osiągnięcie szacunku wśród stałych klientów. Taki etos jest już mało znany w dzisiejszym pokoleniu.

Wystawę „Ginące zawody Śródmieścia” można oglądać w klubie pod Kolumnami przy placu św. Macieja. Informacje na temat projektu znajdują się również na stronie internetowej www.ginacezawody.org.

Oryginalny tekst można znaleźć po adresem:

<http://www.wroclaw24.net/news.php?id=17894&PHPSESSID=00fe9b973a860c0dac8fe3f2b0f53ac0>